



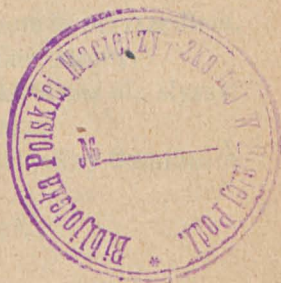
WDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZIŃSKIEGO.

Z. KOWERSKA

ZA WIARĘ

PRAWDZIWE ZDARZENIE Z ŻYCIA UNITÓW

WYDANIE PIĄTE



„KSIĘGARNIA POLSKA“ TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ
WARSZAWA, WARECKA 15
1927

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



5 28087 1000001



XIII Krow

23501

821.162.1-3

DRUK. ST. NIEMIRY SYN I S-KA
WARSZAWA, PL. NAPOLEONA 4.
TELEFON 76-40.

Pan Polański, wychodząc na ganek, spostrzegł stojącą opodal wychudzoną postać Józefa Błażka, wspierającego, zwyczajem włościan, brodę na złożonej w kułak ręce, której łokieć drugą dłonią podtrzymywał.

— A co to Błażek powie?

— Ja tu do jaśnie pana... niby... na poradę przyszedłem. Oglądał się podejrzliwie na wszystkie strony.

— Możecie mówić, mój Błażku, nikt tu nas nie słyszy.

— Mój Franek... niby... mój Franek...

Tu głos chłopca zmałował się i przerwał jakby tłumionym hukiem.

— No, cóż tam?... lepiej mu?... nie?...

— Ha, pomarł dziś o świcie...

Nozdrza wychudzone zadrżały mówiącemu.

— Dobry był do roboty — ciągnął dalej, kiwając głową — abo to on jaśnie panu mało koniczyny wysiekł? Kosa jeno mu warczała w ręku... ale wola Boża... tyfus zadusił i tyle!... nawet tego wina nie dokończył, co mu jaśnie pani przysłała...

— Oj, bieda, bieda — wtrącił pan Polański — takiego syna dorosłego tracić!

— Ha, wola Boża... ale najgorsza rzecz z pochówkiem.

— Aa... prawda... Byłeś u księdza?

— Jużci byłem, ale ksiądz się sumituje, że nie może...

jakiś tam papier do niego przysłali... Powiada, że za to oparłby się w Syberyi... Przynies, kochanku — peda — pozwolenie od naczelnika powiatu...

— Juźci niema innej rady... ksiądz nie może... wywieźliby go za kraj świata, a jeszczeby jakiego moskiewskiego ducha na jego miejsce przysłali... Ksiądz nie może.

— To mi jaśnie pan radzi do naczelnika?

— Ha, spróbujcie do naczelnika... Rady dać wam nie mogę, bo to takie sprawy, że w nich nikt nie poradzi...

— Ja tak mówię kobiecie: wywieź w nocy na cmentarz i pochować, żeby nikt nie widział... Niech tam leży między swymi... a choć go ksiądz święconą wodą nie pokropi, to się Pan Bóg nie obrazi i weźmie go do swojej chwały, jeśli se na to przed Panem Bogiem zasłużył... Ale na kobietę jakby kto żaru nasypał, nie chce ani słyszeć o tem... Peda: abo to on nie był wart, żeby choć dzwony po nim dzwoniły... żeby choć świecę po nim w kościele zapalić?... abo to nie syn twój — peda — żebyś go jak psa ziemią przysypał?... Kobieta zawodzi, aż się serce kraje...

Pan Polański westchnął. Patrzył przez chwilę z litością na Błażka.

— Juź takie czasy, mój Błażku... muru głową nie przebiję... takie nieszczęście na nas Pan Bóg zesłał...

— To wszystko ten psiawiara pisarz — rzekł chłop z zapaloną iskrą nienawiści w oku — z popem się zwąchali i jeno spokojnych ludzi do nieszczęścia doprowadzają. Anim ja tam wiedział, że mój dziadek w unickiej cerkwi chrzczoony... Pamiętam jeszcze, jak go chowali... tu, na naszym katolickim cmentarzu... Oj, cóżto za świat teraz?!

Pocałował w rękę pana Polańskiego i powolnym krokiem, zamyślony, poszedł ku domowi.

Gdy się zbliżył do chaty, w której leżało ciało Franka, boleść coraz bardziej szarpała mu serce. Myślał, jak to

jeszcze parę tygodni temu Franek cwałował z konmi do wody i wyśpiewywał, aż się echo po wsi rozlegało. „Ani się to on, niebożatko, na świecie nażył, ani niczego dobrego nie zaznał, a tylko na drugich pracował... a taki był miętki, że szedł, gdzieś mu kazał... robota to mu się w rękę paliła...”

To znowu stawał Błażkowi w oczach z głową pochyloną nad książką, przy mrugającym knotku lampki, z wysiłkiem i jakby z podskakiwaniem głosu wymawiający sylaby jedną po drugiej. „Takie to było do książki ciekawe! Oj! za cóż też Pan Bóg człowieka tak ciężko ukarał?”

Wszedł do stajenki, gdzie stała para małych, chłopskich koni i oparłszy głowę o żłób, zaniósł się rozdzierającym płaczem. Przy kobiecie i dzieciach młodszych udawał spokojnego: gdzieżby tam chłop tak płakał, jak babał ale tu, przy niemych bydłach... Podniósł twarz zalaną łzami i spojrział na konie, o których Franek tak pamiętał, że sam nie dojadł i nie dospał, aby tylko nie miały nigdy żłobu pustego, żeby za drabiną był zawsze kłaczek siana. Stały teraz o głodzie i na gospodarza patrzyły, niepokojąc się i ciągnąc się ku niemu. Ale mu już nic miłe nie było. Franek wciąż stał mu przed oczami: to wówczas, gdy w niedzielę, włożywszy czystą koszulę, nową kapotę i buty, szedł do kościoła, a dziewczki do niego szczyrzyły zęby; to wtedy, gdy kosą zagarniał trawę, pokos po pokosie; to gdy widłami podrzucał snopy, jakby se żartował... Oj, chyba kobieta dobrze mówił... Jakże takiemu choć pogrzebu ludzkiego nie sprawić!... Choć nie posłyszeć, jak kumy nad jego młodemi latami zawodzić będą!...

Wszedł do izby. Na środku na słomie leżał Franek z świętym obrazkiem w złożonych rękach. Był sam, wszystko z izby powynoszono do sąsiadów, tylko stara Wójtowiczka,

która go na śmierć ubrała, szeptała pacierze, siedząc pod oknem na ławie.

Gospodarz popatrzył na syna, zmówił pacierz, ukląkłszy w nogach nieboszczyka, potem wstał i rzekł głośno, jakby go Franek mógł słyszeć:

— Nie rzucę cię, robaczku, bez księdza i ludzi, jak nie przymierzając zdechłego psa do dołu... pójdę choćby do samego...

— Oj, oj, ojl — zaczęła lamentować Wójtowiczka.

To przerwał mowę gospodarza. Stał milcząc nad zwłokami syna i nagle myśl straszna przeszła mu umysł. Gdyby Franka zabrali na moskiewski cmentarz, gdzieżby on potem na sądzie ostatecznym swojaków odszukał? Tamte, odmieńce, nie puściłyby go z pomiędzy siebie i takby bez ojca i matki dusza z obcemi na zawsze została, jak sierota jaka!

Przeżegnał się i poszedł szukać kobiety. Znalazł ją u sąsiadów, siedzącą na skrzynce z zapuchniętymi od płaczu oczyma.

— No, Jaguś... wola Boża!... już jeno nie lamentuj!... pojedę do naczelnika, pojedę chociażby do samego dyabła, a Franka im nie oddam i pochowamy go tam, gdzie ojcowie leżą... jużby chyba sprawiedliwości nie było...

Wyszedł. Było lato, gospodarz żadnych przyborów do drogi nie potrzebował; zalecił tylko Jaškowi, młodszemu synowi, żeby wszystkiego w domu i w polu pilnował; siadł na konia, na którym przewiesił worek z obrokiem, i z pochyloną na piersi głową pojechał ku gościńcowi.

Miasto powiatowe Z., gdzie mieszkał naczelnik, było o trzy mile, a spiekota tego dnia straszna; ale gospodarz nie czuł upału, choć mu pot kroplami z czoła spływał, tylko mu się widziało, że słońce jakoś śmiało mu się w oczy... jakby się z jego zmartwienia śmiało.

Jeszcze dobrze za dnia stanął w Z., postawił konia w zajęździe i poszedł ku mieszkaniu naczelnika.

Znał je już, gdyż u jego progu przestał raz całe dwa dni, wtedy, gdy mu się ostatnie dziecko urodziło i pop je koniecznie do cerkwi przynieść kazał. Nie widział wtedy naczelnika, który miał wrócić z jakiegoś objazdu, i długo go nie było widać, a potem, choć i przyjechał, powiedziec kazał, że zmęczony, że chory i ani dziś, ani jutro z chłopem mówić nie będzie.

Wróciwszy wtedy do domu, Błażek dowiedział się, że za nieposłuszeństwo i opór władzy kościelnej skazany był na zapłacenie kary dwunastu rubli, kopiejek dwadzieścia pięć. Chłopu się wydało, że wzięwszy pieniądze, już mu dadzą pokój; wydobyl więc ze skrzyni dziesięciurublowkę, obejrzał ją na wszystkie strony, jakby się z papierkiem żegnał... Jużci żal mu było krwawicy, bo ją ani ukradł, ani mu z nieba spadła, ale ją zapracował w sprzedanym lesie pańskim. Rudy Szmul, choć miał fałszywą calówkę do mierzenia obrobionego drzewa, choćby był człowieka ze skóry obdarł, jednak różowy papierek ze związanego sznurkiem pularesa wyciągnąć musiał, bo go człowiek z okładem zarobił. Dwa ruble i pięćdziesiąt groszy dodała gospodyni, co je z jaj i serów zebrała i schowała do zamykanej na kłódkę faski, tak że o tem gospodarz nie wiedział.

— Oddaj im tam te dwanaście rubli, oddaj, a niech się już nie czepiają!

Myśleli, że się pozbyli kłopotu, aż tu im na cięższą jeszcze biedę przyszło, i trzeba było znowu prosić i ludziom się naprzykrzać.

Dobrze, że Błażek znał już drogę do naczelnika. Szedł prosto, nie pytając nikogo; wiedział, jak się od tyłu do kuchni wchodziło i w której sionce czekali interesanci jemu podobni. Tym razem szczęście mu posłużyło, jakby się

w czepku urodził. Tylko cztery godziny stał w sionce. Pan naczelnik wyszedł przypadkiem, ziewając, w rozpiętym mundurze, bo tylko co był wstał z poobiedniego snu. Zobaczywszy chłopą, nachmurzył wyspaną i rozczzerwienioną twarz, i choć umiał po polsku, grubym, urzędowym, charakterystycznym gardłowym głosem zapytał po rosyjsku:

— Kto jesteś i czego chcesz?

Chłop zadrżał. Rosyjski język rozumiał tylko o tyle, o ile do polskiego był podobny, i działał on na niego jak coś nieznanego a straszego, przez co spływały wszystkie biedy: podatki, pobory do wojska, kary pieniężne i coś jeszcze gorszego a nie określonego żadnem prawem — samowolne zdziers'wo, łupieże, łapówki, zapisywanie w księgi, z których już żaden sąd, żadna sprawiedliwość wymazać nie mogła... którymby i sam dyabeł nie poradził... To wszystko przemknęło przez głowę chłopą i zatrzęsło nim do głębi. Schylił się pokornie do kolan naczelnika.

— Ja tu, jaśnie naczelniku, wedle tego, że mnie pono do Rusinów zapisali... Teraz mi syn pomarł — i Błazek jak na dłoni ujrzał Franka leżącego na środku izby na słomie — pomarł mi niby syn, cośmy go w kościele katolickim chrzcili... Ksiądz nie chce chować... peda, że trza od jaśnie naczelnika świadectwa...

— Widać, żeś ty prawosławny.

— Jaśnie naczelniku! Toć ja z dziada, pradziada katolik... pamiętam, jak mego dziadka, Panie świeć, chowali na naszym cmentarzu... żonkę se też wzięmem Polkę... do kościoła co niedzielę chodzę... u świętej spowiedzi zawszem w kościele bywał... dopir tego roku...

— I ksiądz cię do spowiedzi przyjmuje?

— Na tę Wielkanoc nie chciał... peda, że papier przyszedł... I dziecko nie chrzczone...

— Nie opieraj się władzy... idź do cerkwi... tak samo tam chrzest, jak tu; tak samo spowiedź...

— Eee... już tam nie o to... ale mi o syna starszego chodzi... pomarł, a chrzczony w kościele, to mu się i na cmentarzu katolickim leżeć godzi...

— Jaki z ciebie głupiec!... tak samo, jak tu, ziemią przysypią i basta!... Mnieby tam wszystko jedno było... Ja prawosławny, a jak umrę, niech mię chowają, gdzie chcą!...

— Jaśnie naczelniku!... kiej to wszystko jedno, to niech jaśnie naczelnik da papier do księdza... jaśnie naczelnikowi Pan Bóg wynagrodził!

— Dureń! — Naczelnik zmarszczył jeszcze bardziej czoło.— Właśnie dlatego, żeś nieposłuszny i buntownik, to ci żadnego papieru nie dam. Idź precz!

Chłopu w oczach się zaćmiło, zbladł, usta mu się trząść zaczęły, kolana ugięły się pod nim.

Urzędnik spojrział na niego, ramionami ruszając.

— Dureń! Ja zresztą tego zrobić nie mogę, choćbym chciał... To do mnie nie należy.

— A któż to zrobić może? — zapytał chłop, którego chuda twarz przybrała wyraz niezmiernej bolesti.

— To może zrobić tylko prawosławny chełmski konsystorz.

— A gdzie go szukać, tego... niby... jaśnie konsystorza?

— W Chełmie. Wiesz, Chełm... miasto... Tam jest najwyższy zarząd prawosławnej cerkwi... tam trzeba się udać do kancelaryi, wreszcie do samego archireja... jeżeli ci tam pozwolą zostać katolikiem... ale i tam pewno nic nie zrobisz, bo widać, że twoja rodzina z prawosławnych pochodzi... sam ksiądz tak myśli, skoro cię spowiadać nie chce.

— He... to nie ksiądz, jeno ten pieskie nasienie pisarz... to on wywahał, że pono mego dziadka w cerkwi

unickiej chrzcili... i powiedział popu. Na świętą Jadwigę, na jarmarku, peda do mnie: Gospodarzu, macie tam 25 rubli dla mnie? A ja mu na to: U mnie tam kury pieniędzy nie niosą: jak panu trza jajek, to kobieta przyniesie... A on do mnie z góry: Albo mi dacie 25 rubli, albo was do prawosławnych zapiszę. Ja se pomyślałem, że on jeno tak tuma- ni, zwyczajnie jak to on, aby miał pieniądze na wódkę; takem odrzekł: Nie byłem prawosławnym i nie będę, a pie- niędzy nie wyorałem na polu, to ich i nie mam. Myślałem, że na tem koniec, aż tu niedłużeczko ksiadz i dziecka mi chrzcić nie chce i spowiedzi słuchać....

— Który to pisarz? — spytał naczelnik.

— A jużci z Korabina.

— Siergiejewskij?

— A jużci pono tak.

— Ha, każdy żyć musi.

Chłop skłonił się bardzo nizko.

— To ja u jaśnie naczelnika zmiłowania nie znajdę?

— Mówię ci, że to do mnie nie należy... Ja nie pop...

to robota popów...

Wymawiał *pop* z wyrazem pogardy.

— To mnie trza nocą do Chełma — rzekł chłop. —

O, jakie też to czasy nastały, że swojego Boga odrzekać się ludzie muszą.

Skłonił się do kolan naczelnika, który już na niego nie uważał i jego sprawę stracił z oczu, bo do sionki wpadł czarny pies, który mu skoczył na piersi, a on za uszy ciągnąć go począł i przemawiać do niego najczulszemi przezwiskami. Chmurny wyraz urzędowej powagi znikł mu z twarzy.

Błążek szedł przez cały dziedziniec domu bez czapki. Dopiero na ulicy ją włożył.

— Ni się tu kogo poradzić, ni co—myślał—ha, jużci

se Franek zasłużył, żeby się o niego ociec pokłopotał... niech się dzieje wola Boża... trza jechać do Chełma. Pan Bóg dał święte lato... najlepiej jechać nocą...

Napoił konia, kupił bułkę u siedzącej pod płóciennym daszkiem Żydówki i ruszył w stronę Chełma, rozpytawszy się o drogę. Była pełnia; księżyc wypłynął na niebo, kąpiąc ziemię w łagodnym, białym świetle. Gospodarz jechał, mijając wsie i lasy, ani na nic nie spojrzawszy. Tyle ludzi na Bożym świecie, tyle różności; on wciąż widział tylko rozestaną na środku izby słomę... Ha, milsze człowiekowi dziecko rodzone, niżli świat cały... już tak Pan Bóg dał i chyba tak zawsze będzie... jakby ci kto duszę wydarł i rady sobie dać nie możesz... Żeby go choć pochować uczciwie... wstydu mu nie zrobić... Coby se on też pomyślał, niebożatko, żeby go położyć między obcymi...

— Nie, nie dam cię do nich, moje dziecko kochane, nie dam cię do nich, nie będziesz na sądzie z nimi razem pomieszany, jeno se staniesz przy nas, boś ty nasz!

I ciągle wkoło kręciły się chłopu po głowie te same myśli.

Już dobrze rozedniało było, gdy stanął w Chełmie. Jął się rozpytywać, gdzie mu iść trzeba było. Usłużny Żydek, który zwąchał jakiś grosz w kalecie gospodarza, objaśnił go o wszystkim. Nie pytał nawet chłopca, o co mu chodziło; wiedział dobrze, co do Chełma sprowadzało procesyę nieboraków bezbronnych, ciemnych, znikąd zachęty mieć nie mogących, a jednak broniących się nieraz z bohaterską zaciętością.

— Próbuje szczęścia—mówił Żyd.—Jak macie dobrą sprawę, to wam się może uda, choć to tam z nimi...

Uczynił gest wymowny, nie śmiejąc nic wyraźnego przeciw duchownej władzy chełmskiej powiedzieć.

Gdy się Błażek zbliżał do domu, gdzie była kance-



larya zarządu dyecezyi, dzwony poczęły naraz bić w cerkwiach miasta. Było to kołatanie niespokojne, jakby na gwałt, z towarzyszeniem mnóstwa innych dzwonek — charakterystyczne dzwonięcie cerkwi prawosławnych.

Chłop stanął, ręce w zańadrze wsunął, obejrzał się ku cerkwi, skąd najgwałtowniejsze dochodziło go kołatanie, i dumął chwilę z głową do góry wzniesioną.

— Że też oni nawet po ludzku dzwonić nie potrafią — pomyślał. — U nas jak zadzwonią, to ci się aż we wnętrzu odzywa, a u nich to jakby się baby na jarmarku kłóciły. Jakże też to człowiek ma do takiej wiary przystać?

Nieco śmieiej szedł ku kancelaryi. U drzwi domu spotkał jakiegoś człowieka w wytartym i poplamionym mundurze, w obdartych spodniach, w czapce tak spłowiałej, że jej koloru dawnego nikby nie był odgadł. Człowiek ten zapalał ogonek cygara, widocznie gdzieś na ulicy znaleziony. Na widok Błażka przybrał minę butną i zuchwałą, zadął głowę do góry, wziął się rękami pod boki.

— A co tu chcesz, durniu? — zapytał.

Chłop schylił się nisko, prawie za kolana go ujmując.

— Ja tu mam sprawę... niby w kancelaryi...

— Tu się nikogo nie puszczał

— Jaśnie *hadwokacie!*... to sprawa pilna... syn mi pomarł...

— Nie puszcza się nikogo... chyba... Tu jest opłata...

— A chyłaż się to... jaśnie... należy?

— Rubla.

— Ej, gdzieby mię tam na rubla stać... już mię i tak zniszczyli... jaśnie *hadwokacie!*...

Wyjął z kaletki skórzanej pasa srebrną czterdziestogroszówkę. Nie przyszło mu to łatwo. Grube, twarde palce chłopca długo nie mogły uchwycić pieniążka. Człowiek

w spłowiałej czapce chciwym wzrokiem śledził tę pogoń za ślizką monetą.

— Jeno się czterdziestówka u mnie jeszcze zawadza...

Podawał pieniądz, gładząc go w palcach i przyglądając mu się bacznie, jakby podejrzewał, że mógł być dukatem, nie czterdziestówką.

Człowiek, którego niewiedzieć czemu *hadwokatem* nazywał, wyrwał mu pieniądz z ręki.

— Idź, durniu, tu, na prawo, a potem po schodach... tam na drzwiach napisane...

Chłopu, który próg przestąpił i szedł w głąb, oglądając się za schodami, zdawało się, że dużo już dla swej sprawy uczynił, dawszy *hadwokatowi* czterdzieści groszy. Niedokładnie też bardzo położenie rozumiał. Te nieznanne miejsca, te ogłuszające dzwony, ci popi, z którymi miał mówić, wszystko napełniało go bojaźnią, a jednocześnie wprawiało jego umysł w jakiś stan zabobonnego rozmarzenia. Nie napróżno tyle razy słyszał, jak sobie baby, przędąc, bajki opowiadały... Takie przenikało go uczucie, jak w chwili, gdy opowiadająca, dla przedłużenia natężonej niecierpliwości słuchaczy, powtarzała kilka razy: „idzie, idzie... idzie, idzie...” Zawsze po takim „idzie, idzie” następowało jakieś niezwykle zdarzenie. I on szedł i szedł, nieprzymierzając jak ten „trzeci głupi” z bajki... A nuż i jemu się poszczęści?

Nieśmiało i niezgrabnie wziął się do otworzenia klamki drzwi, nad którymi coś było napisane. Chciałby był wśliznąć się cicho, jak mysz, a narobił klamką, drzwiami i butami podkutymi hałasu.

— Co tam za bydłę? — mruknął po rosyjsku siedzący za stołem urzędnik. Rzucił wzrok na chłopa, a potem pisał dalej, jak gdyby go był wcale nie zauważył.

Chłop stanął nieruchomy w progu i po jakimś dopiero czasie, kłaniając się czapką do samej ziemi, zaczął:

— Jaśnie naczelniku...

— Czego chcesz? — rzucił niecierpliwie piszący.

— Ja tu, jaśnie naczelniku, wedle tego, że mnie na prawosławie przypisują, a ja z dziada, pradziada katolik.

— Utrapienie z tem chłopstwem! — sarknął urzędnik. — Jakie masz świadectwa?

— Ja?... niby żadnych... ale jać przecie pamiętam, jak mego dziadka chowali... pomarł tak jakoś zaraz po Wielkonoocy...

— Ale papierów, metryk nie masz?

— Kiej mi tam było za metrykami chodzić?... teraz święte lato... ciało się psuje... tuby trza chować...

— Co ty pleciesz?... Dziadek po Wielkiejnocy ci umarł...

— Nie, jaśnie naczelniku; to mnie, niby, syn pomarł... wczoraj, niby, w nocy... Ksiądz nie chce chować... peda, że bez świadectwa nic nie poradzi... Tak ja do jaśnie naczelnika...

— Jaksz żadnych metryk ni świadectw nie przyniósł, to możesz iść do dyabła... tu się niczego nie doczekasz... syna powieź na cmentarz prawosławny i będziesz miał spokój...

— Jaśnie naczelniku!... niech się jaśnie naczelnik zmiłuje... toć to szkoda chłopca!... jakże jemu między swymi nie leżeć?... Gdzież go tam do obcych oddawać?... to takie by!o ciche, zgodne, a do roboty...

— Nadarmo tu stać będziesz! — zawołał zniecierpliwiony urzędnik — jak mi zaraz nie pójdziesz precz, to cię za drzwi wyrzucę!

— Czyż to już sprawiedliwości na świecie niema? — zawołał chłop. — Ja mego Franka wam nie oddam, na waszym cmentarzu nie dam go położyć! Ha, kiedy tak, to tak!

Wyszedł, dawszy sobie wreszcie radę z klamką, drzwiami za sobą rzucając. Szedł wielkimi krokami przez korytarz, nie zważając na hałas, jaki sprawiał. Cienkie wargi drgały mu od gniewu i wzruszenia; pięścią komuś niewidzialnemu groził. Na schodach, na których jego ciężkie i wielkie buty zawadzały się co chwila, spotkał dyaka, którego wziął za samego „najstarszego“. Ha, jeszcze raz trzeba szczęścia spróbować.

— A z jakim to interesem? — spytał dyak, używając mieszaniny rosyjskiego i rusińskiego języka, żeby być zrozumialszym.

Chłop, za kolana ściskając dyaka i w ręce go całując, począł rzecz opowiadać.

— To żadnych metryk ani papierów nie masz?

— Jużci nie.

— Hm... to będzie z tem trudno... i to będą duże koszta... ale można... można... żebyś choć wiedział, za jakim numerem sprawa tu przyszła... To twoje nazwisko Błażek? A twój dziadek jakie miał imię?

— Wojciech.

— Wojciech Błażek... poczekajże... ale to będzie kosztować... Gospodarz jesteś?

— Jużci gospodarz.

— To będzie kosztować dziesięć rubli...

— Jaśnie biskupie! — zawołał chłop — a skądże ja dziesięć rubli wezmę?... Ja tu mam tylko tyle, co na mnie... a tam dziecko czekać nie może... teraz gorąco...

— Ha, to sobie szukaj kogo innego do tej sprawy.

— Jaśnie biskupie!... toć już ze mnie zdarli, co mogli, za to, żem dziecka chrzcić w cerkwi nie dał... bo się to i nie należy... ja z dziada, pradziada...

— No, niech tam będzie ośm rubli, kiedyś biedny... ośm rubli daj, to poszukam między sprawami i postaram się...

— Oj, cóż ja pocznę, kiej pieniędzy nie mam? Skądże ich tu wziąć.

— Sprzedaj sukmanę, buty, rób sobie, co chcesz...

— A gdzież ja jaśnie biskupa z pieniędzmi szukać będę?

— Tylko pamiętaj, że ja ci nic nie obiecuję, tylko sprawę twoją odnaleźć... Dziś wieczór, tak przed zachodem słońca, staniesz koło drzwi cerkiewnych, ot tam, widzisz?... ja przyjdę z gotowym papierem i jak ty mi oddasz ośm rubli, ja ci oddam świadectwo.

Nastąpił długi targ; chłop chciał rzecz załatwić za trzy ruble, potem dawał pięć; dyak ustąpił na siedm i przy tem stał tak twardo, że chłop obiecać je musiał. Poszedł zakłopotany, nie wiedząc, jak i gdzie dostanie pieniędzy.

Miał w rzemieniaku trzy ruble papierkiem i trochę drobnych. Usłużny Żydek, który się nim był na samym wstępie zaopiekował, zgodził się wziąć w zastaw jego sukmanę i buty i dostarczyć mu potrzebnych czterech rubli, policzywszy sobie tylko rubla procentu za tydzień, po upływie którego gospodarz miał wrócić z pieniędzmi.

Wieczorem do drzwi cerkwi przybył rzeczywiście dyak, ale spieszył się czegoś i oglądał się, jakby się bał. Gospodarz miał już siedm rubli w rękę, ale widząc zakłopotanie dyaka, schował prędko dwa, a wyciągnął ku niemu rękę z pięciorubłówką. Dyak wyrwał mu ją spiesznie z ręki.

— Masz — rzekł, oglądając się wciąż trwożliwie — znalazłem twoją sprawę... niemało się za nią nachodziłem... Zarobiłem więcej niż dziesięć rubli, bom do samego archireja za nią chodził... Nie chciałem zdzierać cię za darmo.

— Jaśnie biskupiel — zawołał chłop.

Dyak nie słuchał słów dziękczynnych. Znikł jak cień we drzwiach cerkwi, a Błażek począł otrzymany papier jak relikwie chować za odkład wełnianej białej czapki.

Grubymi palcami wsuwał świadectwo, starannie złożywszy potem oglądał czapkę, trząśną ją, patrząc, czy papier nie wyleci. Był przecie w posiadaniu nieocenionego skarbu Franek jego jak się należy pochowanym zostanie, nie wiozą go między obcych... Toć i matce na sercu lżej się zrobi, jak się dowie, że po jej dziecku dzwony katolickie zadzwonią...

Gospodarz jechał znowu nocą i znowu myśli czarne obsiadły go, niby wrony stertę. Drugą noc nie spał, a choć miał taką naturę, że go i kijem dobić było trudno, ale mu się ciemno przed oczami robiło, to znowu stawały mu przed niemi świece. Co chwila macał czapkę, czy aby papier gdzie nie wyleciał...

Nad ranem przejęło go zimno. Jechał w jednej koszuli i choć było lato, ranek był chłodny, bo nim słońce wstanie, zawsze od niego „pociąga“. Koszulę i czapkę mokną od rosy; trzeba też było popaść konia, dać mu się wyspać... A choćby też i parę godzin później przyjechał?... Czy to on jechał z lekarstwem do chorego, czy z babką do kobiety?...

— Oj, poczekasz ty na mnie, dziecko rodzone, poczekasz... i nigdzie ty nie wyjdiesz z chałupy, ani pojrzysz na drogę, choć kałtan zarży, swoją stajnię poczuwszy...

Popaść w Z... i kieliszek wódki wypił, bo aż dygotał od zimna; ale niedługo tego było. W parę godzin po wschodzie słońca już było gorąco, a w południe tak dopiekało, że i człowieka i bydła było szkoda. Trzeba było stępa jechać, a napotkawszy cień, odpoczywać. Ledwie wieczór dowlokł się do domu. Ludzie wracali z roboty, z kosami i grabiami na ramieniu, zdaleka niby jakie wojsko wyglądając. Stawali przed chałupą Błażka i wchodzili do niej, zostawiały kosy i grabie pod ścianą. Już z wygonu, którym jechał właśnie gospodarz, słychać było płacz kobiety. To gospo



dyni zawodziła nad Frankiem, którego właśnie ze słomianego posłania do trumny kładli. Chłopa aż zamroczyło od żalu. Skręcił konia i zamiast ku podwórku, jechał polem aż za stodółkę, której drzwi pewno nie były zamknięte, bo była jeszcze pusta... zwyczajnie na przednówku. Drzwi dały się otworzyć; wszedł do stodółki, zdjął uzdę koniowi i puścił go, by szedł do stajni, sam zaś rzucił się w zapole, w którym było trochę słomy, i tam usiadł, plecy o ścianę oparłszy.

— Niech się tam ludziska rozejdą, albo mrok lepszy się zrobi, bo poco mają na człowieka ślepie po próżnicy wylupiać...

Gospodarz wstydził się łez, które mu po twarzy płynęły i za gardło go dusiły, niby wilk owcę.

Ale Jasiak spostrzegł konia, zbierającego żdźbła roztrzęsionego siana na podwórku.

— O la Boga!—krzyknął—toćto kałtan... sam przyleciał, czy co?

Gospodarz zbliżył się do nieszczelnej ściany stodoły i półgłosem zawołał syna.

— Jasiak, Jasiak, a chodź jeno tu!... dobrze, żem cię przydybał... Weźmiesz se zaraz gniadego i pojedziesz do księdza z papierem... Oddasz księdzu papier... tylko se pamiętaj... Dowiesz się od niego, kiej będzie wyprowadzenie Franka. Tylko papieru mi nie zgub, bo on i dużo pieniędzy i dużo mitręgi kosztuje... No, weź moją czapkę... Widzisz zasadzony papier?...

Jasiak spojrział w twarz ojca; nie śmiał o nic pytać, tylko, okiełznawszy gniadego, ruszył ku miasteczku. Wpuszczono go do księdza, który pił herbatę przy otwartem oknie.

— A co to chcesz, moje dziecko?

— Tu jest papier — rzekł Jasiak, całując w rękę księdza. — Tatulo kazali się dowiedzieć, kiej będzie wyprowadzenie.

— Czyje?

— A jużci Franka, proszę jegomości.

— Błązek?

— A jużci.

— Co? Dostaliście świadectwo? A, dzięki Bogu, moje dzieci!... dzięki Bogu! A przecie że to przekleństwo z głowy waszej zdjęte zostało! Dawaj, dawaj!

Ksiądz przybliżył się z podaniem sobie świadectwem do lampy. W miarę jak czytał, twarz jego przybierała wyraz wielkiego smutku.

— Moje dziecko — rzekł — moje dziecko... to ojciec jeździł do Chełma?

— Jużci musi do Chełma?

— Dawno wrócił?

— Już się zmierzchało, jak przyjechali.

— Weźże to świadectwo, moje dziecko, odwieź ojcu i powiedz, żeby do mnie sam z niem przyjechał... dziś jeszcze... choćby w nocy... powiem, żeby go wpuścili do mnie, o którejkolwiek porze przyjdzie...

— A z wyprowadzeniem jakże będzie?

— Już ja ojcu samemu wszystko powiem... bo tu jest ważny interes...

Po północy zapukano w okno plebanii. Błązek przybywał ze świadectwem zaniepokojony, nieufny. Uprzedzony służący księdza otworzył i chłop znalazł się przed ubierającym się naprędce proboszczem.

— Moje dziecko — rzekł ksiądz, który zawsze w te słowa odzywał się nawet do najstarszych ludzi swej parafii — moje dziecko... źle z twoją sprawą... na tym papierze wyraźnie stoi napisane, że ponieważ twój dziad chrzczony był w unickiej cerkwi, zatem pewne jest, że cała twoja rodzina, a więc i ty i twoje dzieci, do kościoła prawosławnego należycie...

Chłop stał przed księdzem z gorączkowo świecącymi oczyma; ręce opadły mu wzdłuż ciała, zbladł okrutnie i zdawał się niedokładnie rozumieć.

— Kazałem ci dlatego przyjść — moje dziecko — by ci powiedzieć, co stoi w tym papierze.. żeby cię ostrzedz, byś go nie pokazywał nikomu... Gdyby się o nim pop dowiedział... Znam cię i wiem, że przy swojej wierze silnie stać pragniesz... może podasz prośbę wyżej... Słowem, z tem świadectwem nie masz się co chwalić...

— O Jezul — zawołał chłop — a ja myślałem... Czy jegomość dobrze przeczytał?

— Dobrze przeczytałem... dobrze... ale jeśli nie jesteś pewien, to niech ci to przeczyta pan Polański, ale nie chodź ani do popa, ani do pisarza.

— O, to ten psia.....! to ten odmieniec wszystkiego narobił! To on mi to nieszczęście na głowę naprowadził! Oj, cóż mi teraz począć... co począć...

— Ja ci rady dać nie mogę... na to niema rady!...

— A żeby jeszcze do X.?... Możeby tam kto poradził?...

— Zdaje mi się, że to będzie nadaremnie, ale cię od ego, moje dziecko, odwozić nie będę...

— Ja go nie dam wywieźć na cmentarz prawosławny! — zawołał nagle chłop, pięść do góry podnosząc. — A jegomość pozwoli w nocy pogrzebać go na cmentarzu? — dodał, głos zniżając.

— Pozwolić nie mogę, ale ci nie przeszkodzę...

— Oj, wiodło mi się, wiodło — począł chłop, jakby głośno rozmyślał — aż naraz niby piorun strzelił... wszystko naopak... i karę płąć... i takiego parobka na marach z chałupy wyność... i dziecko nie chrzczone, jakby nieprzywierza-
jąc, żydowskiel... Czy już Pana Boga niema nad nami!

— Nie bluźń, moje dziecko... Jeszcze wszystko może a dobre się odmieni.

Chłop ucałował rękę księdza i ciężko wzdychając, wyszedł z plebanii.

Choć postanowił pochować Franka cichaczem w nocy, jednak nazajutrz zmienił projekt po naradzie z Pawliniakiem, furmanem dworskim, kumem swoim, który nie z jednego pieca chleb jadał. Ten namówił Błażka do pojechania do X., „bo tam się z hadwokatem naradzić łatwiej i do gubernatora trafić, a może od księdza na spowiedzi otrzymać jaką radę; bo tam nie w jednym, to w drugim kościele znajdzie się dla człowieka miejsce przy konfesyonale. Tutejszemu księdzu nie dziwota, że do spowiedzi nie przyjmuje, bo pop jeno czyha, żeby go zgubić, ale w X. ktoby tam dopilnował?... Tyle narodu wszędy po kościołach...”

Gdy gospodarz we dwa dni później wracał z X., nic nie wskórawszy, ujrzał przed chatą swoją jakieś zbiegowisko. Byli to strażnicy ziemscy, wójt, pisarz i tłum ciekawych.

W chłopca jakby coś strzeliło. Podjechał pod dom i nie zdejmując czapki, zapytał zuchwale:

— A, cóżto, ukradli tu co waszego, że wietrzycie kieby...

Wójt, człowiek spokojnego ducha, nie dał mu skończyć.

— Dalibyście spokój... jużci nie można na takie gorąco ciała trzymać... tylkośmy się przyszli zapytać... chodźcie jeno bliżej... przyszliśmy się zapytać, kiedy syna chować będziecie.

Błażek pomiarkował gniew, zdjął czapkę.

— Pochowam choćby dziś — rzekł — jeżeli mi go pozwolicie zawieźć na katolicki cmentarz.

Spotkał się ze złośliwym uśmiechem pisarza, siedzącego na ławie pod chałupą.

— Swiaszczennik powiedział, żeś ty nasz — ozwał się jeden ze strażników łamaną polszczyzną.

— Taki ja wasz, jak ta chata wasza, jak to moje

dziecko wasze... Nie dam go wam i na wasz cmentarz nie powiozę!...

— Stawia opór władzy — ozwał się drugi strażnik.

Chłop nie odpowiedział. Prawą rękę wsunął w zana-drze, głowę podniósł do góry, lewą pociągnął konia za sobą i poszedł ku podwórku sąsiada, u którego znajdowała się żona jego z dziećmi.

Wójt, strażnicy i pisarz poczęli się naradzać. Postanowili wkońcu straż postawić przy umarłym, a nazajutrz powieźć go na cmentarz prawosławny, jeżeli rodzina pogrzebem się nie zajmie

Błażek z Jaśkiem podjechali w nocy cicho furą, chcąc Franka wykraść z pod straży, ale im się to nie udało i warta nasłuchiwała się tylko przekleństw gospodarza. Powstała zwada, która skończyła się na tem, że kobieta wzięła męża pod rękę i odprowadziła do chałupy sąsiada. „O! bo czyż to nie obraza Boska kłać tak paskudnie, kiedy tu jeszcze nieboszczyk do świętej ziemi nie poszedł“.

Błażek szedł za kobietą sapiąc i mrużąc, ale sam zrozumiał, że nie powinien był folgować złości, choć się w nim gotowało.

— Pójdę, gdzie mnie oczy poniosą — rzekł wreszcie, wrywając rękę żonie.

— Oj, bójże się ty Bogal — zawołała kobieta. — Toć gospodarstwo na ciebie patrzy i drobne dzieci, a ty sobie do głowy dopuszczasz!... Toć to dziecko było pierwaj Boże, a potem nasze... Nie nam pierwszym i nie nam ostatnim taki frasunek Pan Bóg zsyła.

Chłop nie słuchał, jeno poszedł w pole het — ku lasowi. Kobieta płakała, oparta o ścianę chałupy sąsiada, ocierając fartuchem oczy.

Nazajutrz rano znowu się zaroilo koło chałupy Błażka. Strażnicy napędzili Jaśka, żeby zaprzął konie, wartownicy

wynieśli trumnę na wóz. Ludzie, co z ciekawości się ebrali, nie wiedzieli, czy iść za wozem, czy nie; ale Błażkowa tak okropnie płakała, że aż zemdląła na trawie; ledwie się jej kumy docuciły. Gdy przyszła do siebie, usiadła na ziemi i wyciągając ręce do wozu z trumną, wołać zaczęła:

— O moje ty dziecko rodzone! Ani ty na tym świecie nie użyłeś, ani ty pochówku ludzkiego mieć nie będziesz!... ani tobie ludzie zaśpiewają, ani tobie dzwony zadzwonią!...

Serce się krajało patrzeć na kobietę; więc ludziska poszeptali między sobą, i gdy wóz ruszył, Szymon Stępniak, co umiał wszystkie pieśni, jak sam organista, wciągnął powietrze ustami, aż mu się piersi wydeły, co było znakiem dla innych do rozpoczęcia śpiewu, i huknął wraz ze wszystkimi pieśń, którą zawsze śpiewano, gdy wóz z umarłym ruszał z przed domu. Tu dopiero powstało zamieszanie; strażnicy poczęli lud uciszać i rozpędzać: „umarły był prawosławny... tak kazał cesarz i archirej i pop... Nie wolno śpiewać przy jego ciele pieśni katolickich... Nie wolno, nie wolno!“...

Lud stropiony nie ucichł odrazu, bo gdy chłopci na przodzie idący już zrozumieli, o co chodziło, i śpiewać przestali, baby z tyłu piskliwie jeszcze wyciągały. Strażnicy wpadli między kobiety, krzyczeli, pięściami wygrażając, aż dopóki wszystko nie umilkło. „Cóż to? iść za nieboszczykiem bez nijakiego śpiewania?“ — szeptały kobiety; to też ludzie się porozchodzili, tylko kilka kobiet zostało przy Błażkowej.

— Ani się z tobą ociec pożegnał — zawodziła biedna matka — ani za tobą poczęstunku dał dobrym ludziom... Oj, wywieźli cię, wywieźli, niby jaką sierotę!...

— To, bajecie, Józwy niema? — mówiły do siebie kobiety.

— Oj, niema, niema go! — płacząc, wołała Błażko-

wa. — Jak w nocy poszedł w las, tak i nie wrócił. Oj, może i lepiej, że nie wrócił, boby on był tym odmieńcem chyba łby porozbijał. Najeździł się, nafrasował i wszystko nadarmo!

Kobiety podniosły Błażkową z ziemi i poprowadzić chciały do sąsiadki, lecz gdzie ona tam miała czas wałęsać się z założonemi rękami. Toć i tak w chałupie od tyłu dni nic się nie robiło, a tu żniwa za pasem. Poszła z szaflikiem po białą glinę, którą kopano pod górą, bo trza było izbę wybielić. Przecie tak stać nie mogła, „bo i nie ładno tak się wprowadzić i zaduch był taki, że niech ręka Boska bronil“

Okolo południa wrócił Błażek. Zastał izbę naoścież otwartą i okna wyjęte. Na środku stała kobieta na kobylicy i bielila. Głowę miała zawiązaną grubym gałganem, twarz zabeloną, niby młynarka, a i gruba jej spódnica i zapaska pokapane były białą, rozrobioną w wodzie gliną. Gospodarz nie przemówił do kobiety ni słowa; poszedł do komory, ukroił kromkę suchego chleba, wziął kosę na ramię i udał się na łąkę. Nie zapytał ani o Jaśka, ani o konie, ani o młodsze dzieci.

— „O suchym kawałku chleba będzie kosił“ — pomyślała z żalem kobieta.

Wieczorem już wszystko stało na dawnym miejscu. Nikt jeszcze w izbie nie chciał siedzieć, bo wszystkim jakoś było straszno; więc kolacyę postawiła gospodyni na ławie przed chałupą, a po jej zjedzeniu poszli wszyscy spać na siano do stodoły, tylko gospodyni z Jewką i małym Jacusiem spali w komorze, bo trzeba było izbę od wewnątrz na noc zamknąć. Jasiek z końmi wrócił jakoś niedługo po południu i począł zaraz opowiadać, jak strażnicy pilnowali, żeby Franka złożono do dołu, i dopiero potem odeszli Kobieta nanowo się splakała.

Od tego dnia wszystko w Błażkowym gospodarstwie

szło po dawnemu. Gospodarz jeździł tylko do Chełma, żeby wykupić sukmanę i buty, ale jak wrócił, to i do sąsiada nie zajrzał, tylko kosił i suszył siano. Nie dziwota! Już i żyto nalewało, a tyle czasu stracił na jazdy.

Przeszło dwa tygodnie. U pana Polańskiego już żąc zaczęli, choć żyto było zielonkawe, i po bandochów gumieny pojechał aż nad granicę. U gospodarzy jeszcze się wstrzymywali: „Szkoda Bożego daru tykać, dopóki nie dojrzeje; grzech chleb święty marnować“.

O Franku już i gadać przestali; aż tu jednego dnia stary chłop, który kopał groby na cmentarzu prawosławnym, wpadł do dyaka z nowiną, że ktoś jedną mogiłę skopał, rozrzucił i choć niby potem ziemią zasypał, to jednak znać zaraz, że była ruszona. Dyak z nowiną do popa. Zrobił się hałas i gwałt; zwołano strażników, zaczęto dochodzić. Na cmentarzu prawosławnym niewielu umarłych grzebano; w całej okolicy dopiero prawosławnych robiono, co było można, z katolików, ale cały lud chodził do kościoła. Łatwo też było popu dojść, że rozkopaną była mogiła Franka Błażka. Kazano grabarzowi kopać; kopał do samego dna dołu, ale trumny już tam nie było.

Dopiero pop wpadł w gniew i oburzenie okrutne.

— A to złodzieje, łotry! — zawołał. — Nic dla nich niema świętego! Gotowi groby rozkopywać i święty prawosławny cmentarz znieważać!

Oburzenie popa podzielili strażnicy i pisarz.

— Oto polskie nasienie! — wołał ten ostatni — każdy z nich to buntownik i cara, ojca naszego, nieprzyjaciel. Jabym ich nauczył!... To robota tego łotra Błażka. To chłop hardy — szkoda, że teraz różgami bić nie wolno!

Strażnicy udali się natychmiast do wsi. Było już po zachodzie słońca, kiedy stanęli przed chałupą Błażka. Przed sienią gospodyni krzątała się koło wystawionego na dwór

stołu, na którym leżały nakrajane kromki chleba dla wszystkich. Błązek kończył za stodółką stawianie małego stożka z błotnego siana. Usłyszał on jakieś zmięszane głosy, a potem wołanie niespokojne kobiety:

— Józef, Józef, a chodźno tu pędzej!

Wybiegł z za stodółki, lecz zobaczywszy strażników, zwolnił kroku i szedł powoli, wyprostowany, z grabiami na ramieniu, uchyliwszy zaledwie czapki.

— Ty wiesz, pocośmy przyszli?—zawołał jeden ze strażników, idąc spiesznie ku niemu. — Ty wiesz?...

— Nie, nie wiem—odparł spokojnie chłop.

— Nie wiesz? nie wiesz? A kto odkopał mogiłę na cmentarzu?

— O Jezul!—zawołała kobieta.

Chłop stał spokojny, żaden rys twarzy mu nie zadrgał.

— Tyś odkopał grób syna!—krzyknął drugi strażnik.

— Gdzieś go podział? gdzie wyniosteś trumnę?

— Abo ja wiem? Nie ja go tam chował, nie mnie go tam pilnować... Wyście go zabrali jak swego.

— Bo on nasz, on prawosławny!

— Ej, musi on być nie wasz—odparł spokojnie chłop —kiej na waszym cmentarzu uleżeć nie mógł, ino sobie innego miejsca poszukał. Żeby był wasz, toby się od was nie ruszył.

Tu strażnicy wybuchnęli przekleństwami i groźbami.

— Przyznasz się ty przed sądem! A wiesz, jak się naruszenie grobu karze?

Chłop milczał już niemy. Kobieta przysięgać zaczęła, że nikt z nich grobu nie ruszał. Płakała i prosiła strażników, jakby byli najwyższą instancją w tej sprawie. Poszli nareszcie, przyjąwszy, pomimo grozy, jaką byli przejęci, miskę kwaśnego mleka, pół bułki świeżego chleba i kilka groszy, które im gospodyni wcisnąć do ręki zdołała.

Jakoś pod tę porę przypadł przyjazd naczelnika powiatu do gminy. Pisarz i wójt byli w wielkim niepokoju. Sprowadzili parę butelek starej litewki, którą, jak wiedzieli, naczelnik lubił nadewszystko, a także śledzi, kawioru, sardynek, których nazwy wójt nigdy nauczyć się nie mógł. Z rewizją spraw wszystko jakoś poszło dobrze, naczelnik był w dobrym humorze, przyjął ofiarowane sobie śniadanie i właśnie pomiędzy jednym kieliszkiem a drugim pisarz, chcąc go zająć sensacyjną nowiną, opowiedział mu o zniknięciu Franka wraz z trumną z cmentarza prawosławnego. Naczelnik zamyślił się, nachmurzył i rzekł tonem wyższości, jaki przybierał zawsze wobec urzędników gminy:

— To niezawodnie sprawa rodziny: ojca, czy brata. Trzeba koniecznie wykryć tego, kto to uczynił, a jeżeli się to nie uda, to przynajmniej zmusić tę rodzinę, by obrzędy prawosławne sprawowała. Gdyby taka rzecz uszła bezkarnie, byłby to najgorszy przykład dla całej okolicy. Już i tak tyłu w niej „uporstwujuszczych“.

Pop, który po nabożeństwie przyszedł też złożyć swą czołobitność naczelnikowi, podzielił zupełnie jego zdanie. Zuchwalstwo tych Błażków przechodziło wszelką miarę. Trzebaby się lękać zemsty Bożej, gdyby takie świętokradztwo nie zostało ukarane!

— Ja ich tu zaraz pociągnę znowu do odpowiedzialności za nieochrzczenie dziecka—dodał ze świętem oburzeniem w głosie.

— Będę pamiętał to nazwisko... Błażek... nieprawdaż? Ile razy będziecie, ojcze, potrzebować urzędowej pomocy, tyle razy udajcie się do mnie. Może nareszcie zmusimy tę rodzinę do powrotu na łono świętego kościoła prawosławnego, którego głową jest nasz najbogobojniejszy cesarz.

Obecni wszyscy pochylili głowy na znak czci. Wójt, niedobrze rozumiejący po rosyjsku, nastroił minę na wzór

tych, które go otaczały. Naczelnik kontent był z siebie. Bał się wszystkich popów jak ognia, wiedział bowiem, że ich denuncyacye, choćby niezupełnie uzasadnione, mogły go łatwo pozbawić posady przy obecnym kierunku rządowym. Wiary nie miał żadnej i dzielił z większością swych współrodaków pogardę dla sług kościoła; ale wiedział, że nadeszła chwila ich panowania, i że gorliwość religijna i fanatyzm wyznaniowy był obecnie najpewniejszym środkiem pozostania w łaskach u władzy wyższej. Całe to grono urzędnicze, świeckie i duchowne, nastrojało się do objawów jak największej gorliwości religijnej, nie łudząc się wcale przytem co do jej charakteru. Wszyscy wiedzieli, że był to fanatyzm urzędowy. Pop znał doskonale obojętność religijną naczelnika, ale wiedział, że w ubiegłą Wielkanoc, po raz pierwszy od lat wielu, naczelnik odbył ostentacyjnie rekolekcyje i spowiedź, i to naprawdę, nie jak inni urzędnicy, którzy za gotówkę kupowali od popa świadectwo odbytych praktyk religijnych. Pop czuł też swoją, nie określoną żadnem prawem, a jednak nieograniczoną władzę nad tym światem urzędniczym, który drżał przed nim, czując, że denuncyacya popa była bronią tajemną, a jednak niechybnie sięgającą celu. Wyszukiwanie między katolikami rodzin, w których jeden z członków ochrzczony był lub pogrzebiony przez księdza unickiego, stało się dla wszystkich tych ludzi, pragnących zasług wobec władz wyższych, środkiem prowadzącym do wyższych posad, orderów, odznaczeń i gratyfikacyi. Każdy z nich miał na dnie duszy nadzieję korzystniejszego stanowiska, a wszyscy gonili za tym jednym sposobem: prześladowaniem „uporstwujuszczych“, czyli nie chcących przejść na prawosławie, i szpiegowaniem na wsze strony, w chęci wykrycia coraz nowych ofiar. Gorliwość w tym kierunku opłacała się najlepiej, przychodziła najłatwiej. Prześcigano się w tem polowaniu, bojąc się posądzenia

o brak gorliwości; drżano przed sobą wzajemnie, wiedząc, że ucho władzy otwarte zawsze było na posądzenia i doniesienia.

Naczelnik, lubiący do zbytku mocne napoje, czerwony, otyły, tak że mundur swój rozsadzać się zdawał, był urzędnikiem niedbałym i apatycznym, chowającym sprawy pod sukno, udającym surowość, a w grucie bezsilnym, gdy chodziło o kontrolowanie podwładnych. Sam próżnowanie przekładał nad wszystko i czując, że wiele spraw zalegało, że się nadużycia wkradały jedne po drugich, chciał ocalić położenie, stawszy się naraz fanatycznym apostołem prawosławia. Pisarz Siergiejewskij szedł ręką w rękę z popem. Jadł z nim i pił, płacąc mu rocznie okazałą stosunkowo sumkę, niby na cerkiew ją składając, a w gruncie opłacając jego łaski i przychylnie raporty do władzy. Opłaciwszy się, obdzierał chłopów ze skóry. Pod groźbą, że wynajdzie takiego pradziadka, którego chrzest odbył się w cerkwi unickiej, gospodarze pozbywali się dobytku, byle zatkać gębę pisarzowi. Strażnicy przy tem polowaniu, przy którym sprawowali rolę psów gończych, dostawali też kąsek niejednen. Położenie nieszczęśliwych, żyjących pod ciężką groźbą, oszukiwanych, tumanionych, straszonych, a ciemnych, nie umiających się bronić, ani odróżnić rzeczywistego niebezpieczeństwa od zmyślonego, położenie to ocenić mogą tylko ci, co żyją w parafiach, w których unia, choćby w małej cząstce, miała swoje siedlisko.

Po odjeździe naczelnika nieco podchmielony pisarz, wypiwszy resztki „oczyszczonej“, udał się do popa, u którego przesiadywać lubił. Czytywał tam pismo, służące za pokarm jego urzędowej zaciekłości politycznej i religijnej, jedyne, które widywał: *Eparchialne Chełmskie Wiadomości*. Dowiadywał się z niego o niesłychanym ucisku, wywieranym na Rusinach galicyjskich, o nikczemnej intrydze austriacko - węgiersko - polskiej w Bułgarii i Serbii, i tematy

te służyły mu zwykle za podstawę pogawędki z popem. Na teraz począł od oburzenia na tych głupich, ciemnych, niekczemnych i niewdzięcznych chłopów, którzy nie umieją ocenić dobrodziejstw cesarza, pozwalającego im być tej samej wiary, co on.

— Wszędzie niegodziwość, wszędzie intryga! — perorował, mimowolnie zapożyczając styl od Chełmskich Eparchialnych Wiadomości—jezuicko-szlachecka intryga! Kiedyż nareszcie przyjdzie dzień sprawiedliwości i prawdy? Ja, żebym był cesarzem, wziąłbym się do nich inaczej; ale on dobry, on miłościwy, przebaczy urazy... Tu głos pisarza płaczliwe przybrał tony.

— Zawsze tak było — rzekł pop niskim basem — że najświętsze sprawy miewały nieprzyjaciół. Zawsze była walka światła z ciemnością... Szatan jeszcze zwyciężonym nie został, a te legiony księży katolickich, ta szlachta przekłęta czy mu dobrze nie służą?

— Jak czytam o tych biednych, prześladowanych Rusinach galicyjskich, którzy do nas wyciągają ręce, którzy pragną połączenia się ze świętą prawosławną cerkwią—to mnie, ot, prawdziwie... łzy dławia...

Pisarza tak wódka rozebrała, że już płakał naprawdę.

— Albo ci Serbowie, Bułgarowie, za tyle poświęceń... za tyle krwi prawosławnej... Ot, jednego i drugiego Niemca wzywają na tron... Czy to nie szatańska sprawa?

— Ale my, ojcze, my — wołał podniecony pisarz — wiernie służymy i służyć będziemy Bogu, cesarzowi i cerkwi prawosławnej! My nie pozwolimy na to, by jej się tu działa krzywda! My ukarzymy opierających się władzyl! My zmusimy „uporstwujuszczych“ do posłuszeństwa. Albo ten Błazek!... On się ośmiela cmentarz prawosławny znieważać! Dowieść mu tego niepodobna, ale któżby inny mógł to uczynić?

— Będzie on posłuszny — odrzekł pop — tylko się weźmiemy po swojemu do niego.

Tu nastąpiła między dwoma apostołami narada, z której wynikła prawdziwa obława na nieszczęśliwego Błażka. Nałożono na niego, z powodu nie chrzczonego dziecka, nową karę pieniężną, tym razem dwa razy większą, niż poprzednia. Że jej nie miał czem opłacić, sprzedano mu krowę i jałoweczkę roczną, która za Jewką jak pies chodziła i obiecana już jej była na wiano. Płaczu też było, płaczul Ale chłop zęby zacisnął: „Może też przemogę tę biedę?” — pomyślał sobie.

Zboże tego roku Pan Bóg dał piękne, i cała rodzina na zagonie od świtu do twardego zmroku stała. Nawet małego Jacusia zabierano z sobą i w płachcie do dwóch kołków przywiązywano go w polu; siedziała przy nim trzyletnia Marysia, huśtając go, gdy się tylko poruszył. W izbie nie została żywa dusza.

Skończono żąć żyto. Ustawiono je w kopy porządne, którym i deszcz mało szkodzi, a wzięto się do pszenicy. Gospodarz mało i spał, bo zboże było suche, aż się prosiło do stodoły, a tu dwoje rąk najlepszych leżało, trzymając obrazek, pod czerwoną gliną cmentarza... Trzeba było pracować za dwóch, więc Błażka tak czasem rozbierało, gdy się snopów odzwigał, iż myślał, że i jemu rozchorować się przyjdzie. Ale gdzie on tam miał czas na to!

W dniu, w którym dożynano pszenicy i spieszono się okrutnie, bo się jakoś na deszcze miało, Marysia, kołyszająca w płachcie Jacusia, krzyknęła nagle przeraźliwie, jakby ją kto ukropem oblał. Matka myślała, że się dziecko jakiego gada przestraszyło; obejrzała się i struchlała ona także. Pobladała jak ściana i szepnęła:

— Strażnicy!

— A te psy czego tu znowu chcą?—rzekł, blednąc także i marszcząc czoło gospodarz.

— He, he, he! — śmiał się jeden z nadchodzących strażników—no, cóż, Błażek?... to żniwo już cię zmęczyło.. jutro sobie odpoczniesz... pojedziemy sobie razem w podróż...

— Odpocznę ja chyba w grobie—rzekł gospodarz.

— Do „swiaszczennika“ przyszedł papier... podobno ta kobieta to nie twoja żona, a tylko...

Chłop podniósł głowę od zagonu, spojrzął na mówiącego z pogardą i zdziwieniem.

— Ty masz brata w Guzówce?—pytał strażnik.

— Mam... rodzónego.

— I on z siostrą tej kobiety żonaty?

— A jużci.

— Z siostrą starszą?

— Jużci tak.

— No, to ta kobieta nie twoja żona.

— Jenó może twoja? — zawołał chłop, unosząc się gniewem.

Tu nastąpiła rozmowa, której dosadność określeń i wyrażeń przeszkadza jej powtórzeniu. Nieszczęśliwi Błażkowie dowiedzieli się z niej, że ponieważ kościół prawosławny nie pozwala na żenienie się dwóch braci z dwiema siostrami, zatem małżeństwo później zawarte jest nieprawne. Błażek ma się stawić do naczelnika powiatu, który od konsystorza chełmskiego otrzymał zawiadomienie, iż Błażkowie nadal żyć z sobą nie mają prawa.

Żrenice chłopą rozszerzyły się: patrzył na strażników, sierp z ręki wypuściwszy. Przecierał czoło, jakby myśli zbierał.

— Jaguś! — zawołał na żonę — waryacya mi się cze-
pia, czy co?

Kobieta przypadła do męża.

— Józef! Józef! nie przypuszczaj se ty do głowy! Józef!... toć te dzieci na twoje ręce patrz! Jakby, broń co na ciebie, cóżby se te sieroty za radę dały?

Błażek sapał głośno; na snopie usiadł w milczeniu, nie patrząc nawet na płaczącą kobietę.

— Jutro rano żebyś był w kancelaryi, Błażek!—rzekł jeden ze strażników.—Ja jadę do powiatu i ty ze mną!

— I ja z nim — zawołała kobieta — toć on już siebie nie czuje... spracowany... i spokoju od was nie ma... Powiem ja naczelnikowi... toć my nie żadne przybłądy... Cała wieś wie, że nam ksiądz ręce związał przy ołtarzu. Przecieżmy zapisani! On mój, a ja jego!

Naczelnik, gdy przed nim stanęli Błażkowie, pozwolił im mówić i bronić się przez chwilę; lecz gdy kobieta do nóg jego się rzuciła, skoczył nagle w tył jak oparzony, wzruszenie, które go ogarniało, pokrywając krzykiem i tupaniem. Czuł okrucieństwo i niesprawiedliwość postępku, którego się dopuszczał, ale ani cofnąć się, ani parlamentować z konsystorzem chełmskim nie byłby się odważył. Wszyscy współubiegali się o palmę w gorliwości prawosławnej, a on nie czuł się bynajmniej silnie na miejscu swem osadzony. Miał nieprzyjaciół, współzawodników... nie można było dawać im powodów do podejrzenia jego lojalności...

— Gałgany, łotry! — krzyczał — hardość wasza, nieposłuszeństwo władzy zostaną ukarane! Śmiecie jeszcze przeczyć, że małżeństwo wasze jest nieprawne, kiedy wam to mówię ja, naczelnik! kiedy wam to mówi swiaszczennik! Ja was nauczę uległości! Daję wam dwa tygodnie zwłoki. Przez ten czas podzielcie wasze mienie... weźcie, co do którego należy, i rozłączycie mi się!... Rozumiecie? Gdy nie uczynicie tego dobrowolnie, zostaniecie gwałtem rozdzieleni!... Wywieźć każę każde z was w inną stronę!

— Panie naczelniku!—jęczała kobieta, usiłując ciągle chwycić się nogi urzędnika.

— Milczeć! — krzyczał na całe gardło.—Jużeście się dosyć nabyli z sobą! Szukaj sobie innej żony, chłopie! Weź sobie młodszą, ładniejszą! Czy to jedna tylko kobieta na świecie?

Błażek stał milczący, ze sfałdowanem czołem, z brodą w dłoni. Przy ostatnich słowach naczelnika spojrział na niego z pogardą.

— Tej przysięgałem i tej wiary dotrzymam — rzekł z powagą. — Panu Bogu przysięgałem... Co tam ludzkie gniewy znaczą? Pan Bóg nad nami!

— Swiaszczennik lepiej wie, co się Panu Bogu należy! — krzyczał urzędnik. — Widzisz, jam się nie ożenił, bo nie chciałem być przykuty do jednej kobiety. Co ci po takiej starej babie?

— Chodźmy, Jaguś — rzekł Błażek poważnie, podnosząc kobietę z kłęczek. — Obraza Boska słuchać takiego gadania... Nie ludzka to siła przysięgę rozerwać... Mojaś ty jest i moja będziesz!

Naczelnik sapał jeszcze chwilę po ich odejściu, patrząc przez okno na oddalających się. Błażek szedł przodem, z rękami w zanadrzu, kołysząc się w wielkich, ciężkich butach; kobieta za nim z fartuchem przy oczach.

— Nie wiem, na co to tam potrzebne — pomyślał urzędnik — ale trudna rada... każdy żyć musi... te przekłete popy to tylko patrzą, kogo zgubić... zarazby poszedł „donos“ do władzy...

Błażkowie wrócili do domu i pracowali znowu na zagonie, ale jakoś już im nic miłe nie było... Zdawało im się, że coś złego nad nimi wisi, i nie mieli ani dnia, ani nocy spokojnej od zgryzoty. Kobieta powtarzała, że to nie może być, żeby ich rozpędzili na dwie strony świata, kiedy prze-

cie ksiądz stula ręce ich związał i dzieci pięcioro im się chowało... Ale choć tak mówiła, choć Błażek krzyczał „nie-doczekanie ich!” pięści ściskając, na sercu im było okrutnie ciężko. Żeby nie kobieta, co się przed Błażka rzuciła, byłby on pobił strażnika, kiedy przyszedł przypomnieć ów dwutygodniowy termin, po którym Błażkowie gwałtem rozłączeni być mieli. Im termin ten bardziej się zbliżał, tem w chałupie było smutniej. Jakoż obojgu Błażkom ręce od roboty odpadały i ochota ich nie brała do niczego... Ani jadło, ani picie nie było im miłe i nawet serce ich nie bolało o pszenicę, która w kopach porastała, bo deszcz lał i lał, jakby go było potrzeba... Błażek chodził na poradę do księdza, ale ten ścisnął tylko ramionami i ręce składał:

— Cóż ja ci poradzę, moje dziecko! — mówił — niechbym ja powiedział słowo za tobą, byłoby jeszcze gorzej... Koniec świata, koniec świata, kiedy już męża z żoną rozłączają!... Kara Boża, moje dziecko! Kiedyż doczekamy się sprawiedliwości?... Nastaly takie czasy, że pasterz już nie dla swojej owczarni uczynić nie może... Szkodziłby jej tylko, gdyby się za nią ujmował...

— Choćby do samego cesarza napisać? — rzekł zamysłony Błażek.

— Próbuje wszystkiego, moje dziecko, szukaj sprawiedliwości... nie godzi się opuszczać kobiety, której się wiarę zaprzysięgło... a i dzieci trzeba wam wspólnie wychować.

— Nie opuszczę ja jej... ale jak ją ode mnie zabiorą?...

— Jeszcze o takiej sprawie nie słyszałem — rzekł ksiądz. — Wiem, że oni na wszystko gotowi, ale coby im też przyszło z tego, żeby rozdzielać małżeństwo?...

— I ja se to samo myślę... toć im z tego nic nie przybędzie... może te psiawiary chcą tylko, żebym im się opłacił; ale już mię tak obdarli, że grosza przy duszy nie mam... Żyto tam człek zebrał, ale pszenica już wąsów w kopach

dostała... Od wszystkiego człowieka ochota odpada... nie zwiozło się nic za tem chodzeniem do popa i do naczelnika... To, dopraszam się łaski jegomości dobrodzieja... to mi jegomość radzi, żeby się wstrzymać ze wszystkim i czekać zmiłowania Bożego?...

— Mnie się zdaje, że najrozsądniej będzie czekać. A jakby swoje groźby spełnili, jakby kobietę zabrali, to wtedy zawsze będzie czas czynić starania.

Gdy Błażek, opuściwszy księdza, szedł przez miasteczko, oko w oko spotkał się z pisarzem. Zdjął czapkę, lecz chciał przejść nie zaczepiwszy tego, który wszystkich nieszczęść jego stał się powodem, gdy pisarz stanął naprzeciw niego z rękami w kieszeniach.

— Dalibóg — zawołał Siergiejewskij — toć to Błażek! Możesz w konkury do dziewczki chodzić? To z ciebie szczęśliwy człowiek; starą babę od ciebie wyrzucą, a ty sobie młodej poszukasz. Kiedyż weselisko?

— Nie kpilby se pan z mojej biedy — rzekł, chmurniąc czoło, Błażek. — Lepiejby mi pan ot poradził, gdzie mam szukać sprawiedliwości... Panby tam wiedział, jak do cysarza napisać.

— O, do cysarza cesarz tam tylko ciebie ma na głowie! — głupi chłop!

— Jużci głupi — powtórzył Błażek z przeświadczeniem — rady sobie sam nie wymyśli... Zginać mu tylko marnie... i tyła.

Pisarz, słysząc to wyznanie, włożył obie ręce w kieszenie paltota, podniósł głowę, ramiona i spojrzał na mizerną istotę, stojącą przed nim, z wysokości urzędu i rozumu swego. Niezmierna pogarda odmalowała się w jego wzroku.

— Głupi chłop! — powtórzył jeszcze i poszedł w swoją stronę.

W kilka dni później strażnicy, zajechawszy wozem

przed chałupę, zabrali Błażkową i troje młodszych dzieci, gdyż dwoje starszych było w polu u roboty z ojcem. Sąsiadki zbiegły się na krzyk Błażkowej i rozpoczął się istny sądny dzień. Kobiety sobie, dzieci sobie płakały; strażnicy klęli tak, że, jak później opowiadały kumy, „trudno było tego przesłuchać“... Błażkowa związała trochę bielizny w płachtę dla siebie i dzieci, wzięła bochenek chleba i ser w kobiałkę i „tyle tylko zostało pamięci z tego, że se była gospodynią na swoim i przez tyle lat chyba ptasiego mleka jej brakowało.“

Strażnicy powiedzieli jej, że był rozkaz odwiezienia jej na miejsce urodzenia, a więc do Blindowa, dokąd pewnie było ze dwanaście mil.

Jechali dniem i nocą, a gdy się znaleźli w Blindowie, wysadzili kobietę z dziećmi i tobołkami, zapowiedziawszy jej, żeby się nie ważyła wracać do Pólkowa, bo jakby ją drugi raz wywieźli, toby się chyba oparła aż na Syberyi.

Teraz zaczęła się dla Błażka bieda prawdziwa. Nie miał mu kto stawy ugotować, ani bielizny ubrać, ani dać dobrej rady. Dwadzieścia jeden lat przeżył ze swoją Jagusią i tak mu zniknęła z oczu, jak gdyby nigdy nie był jej miał za żonę. Nawet się z nią nie pożegnał. Cios ten przygnębił go i uczynił obojętnym na wszystko. Pomimo że czas naglił, nie myślał o sobie; znajomi we wsi poczęli się obawiać, czy sobie życia odebrać nie zamyśla.

— Jakiś taki do siebie niepodobny — mówił Szymon Stępniak — nie stoi o nic... jakby go co opętało... toć u niego o siebie ani słycho... Prawda, że robić w polu nie ma czem, bo mu konie na zapłacenie kary sprzedali, aleby ludzi poprosił, toby się choć chyło-tyło zrobiło... Ale on się widno całkiem z żalu zapamiętał... Pono jak siedzie w najciśniejszym kącie izby, to siedziałby tak bez końca... tak wam mówię, że choćby pioruny, choćby deszcz ognisty spadł

na niego, toby go to nie więcej obeszło, jak ta rosa je-
sienna, co się rankiem mieni po polach...

— Nie dziwota — dodał inny gospodarz — toćto
człowiekowi żal i dobytku, i żony, i dzieci.

Po deszczach nastąpiła najpiękniejsza pogoda; pszenica
w kopach obeschła i tylko w czapkach bardzo porosła była.
Jasiek z Wojtkiem, że koni nie było, sprzątali pszenicę, jak
mogli. To ją nosili rękami do stodoły, to jedyną krowę za-
przągłszy i wóz naładowawszy, sami pchali i ciągnęli, ile
mogli... Ale choć chłopaki były dobre, jednak że ich nikt
nie pilnował ani do roboty zachęcał, więc wszystko szło
coraz opieszalej.

— Zwyczajnie, jak dzieci — mówiły sąsiadki. — Jak
im nic nie powiesz a za uszy nie wydrzesz, to i roboty
niema.

Sąsiadki miały słuszość. Jasiek z Wojtkiem z początku
pracowali, co sił starczyło, potem już ich w polu rzadko uj-
rzeć było można. Biegali na orzechy do lasu, a jak raz na
dzień ukopali kartofli i ugotowali je, to i tak było dobrze.
Krowa czasem stała niewydojona, kapustę ktoś w nocy wy-
cinał jak swoją, a Błażek ani się odezwał. Sąsiadki przyno-
siły mu czasem chleb i strawę gotowaną, bo im się serce
krajęło patrzeć na niego. „Wychudło chłopisko, wymizer-
niało, zczerniało, zarosło, zdziaziało...”

I pan Polański i ksiądz proboszcz zajeżdżali do cha-
łupy Błażka, chcąc do jego rozsądku przemówić: „Człowieku,
miejże zmiłowanie nad samym sobą!... toć się nie godzi za-
pominać o dzieciach, o chlebiel!... a toć i waryatem zostać
nie trudno, gdy kto żalowi bez końca folguje...”

Ale mu to nie pomogło nic. Chciałby był pracować
i dzieciom złego przykładu nie dawać, ale nie mógł i w smutku
zapominał o wszystkim. Dopiero stara Maćkowa poradziła
mu, żeby poszedł z kompanią do Częstochowy. Już jak on

tam zrobić, tego nikt nie wie, dość, że poszedł aż za Mściłów i do kompanii się przyłączył. Wiedział, że od najdawniejszych czasów tak bywało, że Najświętsza Częstochowska pomagała ludziom w smutku i strapieniach. I jemu rączką swą świętą ulżyła tego kamienia, co mu serce przygniatał. Ksiądz Paulin na spowiedzi powiedział mu, że kogo Pan Bóg kocha, tego i doświadcza. Przypomniał sobie, że i Franek nieboszczyk czytał w książce o Hiobie, co mu tylko psy rany lizaly, a wszyscy go opuścili i patrzeć na niego nie chcieli. Sam Pan Bóg z nim przecie rozmawiał...

Gdy po paru tygodniach chłop wrócił do Pólkowa, ludzie zobaczyli zaraz, że się w nim coś zmieniło.

— Jakby mu Matka Boska po czole rączką przeciągnęła — mówiła stara Maćkowa — już nie wygląda taki nachmurzony... Niewiele mówi, ale co rzeknie, to tak jakoś spokojnie, a zawsze imię Boskie wspominając... Wyraźnie cud nad nim Przenajświętsza uczyniła.

Błążek zabrał się do pracy. Młócił cepami, a z pomocą dobrych ludzi zasiał trochę, choć już bardzo późno na siew było. Z chłopakami wieczór mówił litanię i koronkę, a bił się w piersi tak, „że aż w nich dudniło“. O żonie nic nie wiedział, ale ją i dzieci opiece Bożej i Matki Boskiej codziennie polecał i ufał, że cierpliwością wszystko przemoże.

Ale i teraz nie dano mu spokoju. Niewiadomo jakim sposobem pop i strażnicy zwąchali, że chodził do Częstochowy. Dalejże go więc dopytywać, turbować, ciągnąć do cerkwi. Ale on stał przy swoim twardo jak mur. Na pytania o Częstochowie ani słowa odpowiedzieć nie chciał, choć mu się dobrze po plecach od strażników dostało, i do cerkwi nie poszedł. Wyraźnie powiedział, że póki żyw, nie pójdzie, chyba że go tam gwałtem poprowadzą.

Pop i pisarz tak się teraz na niego uwzięli, że już i odetchnąć mu nie dali. Strażnicy śledzili go, pilnowali, żeby

się nigdzie nie oddalał; nachodzili go co chwila, wzywali do popa, do kancelaryi, coraz to nowemi kontrybucjami okładali. Coraz więcej im o niego chodziło, bo się jego imię na okolicę rozeszło. Mówiono o nim nawet w odległych miejscowościach. I panowie i księża pokazywali go sobie, spotkawszy, i naczelnik powiatu wciąż napierał o zmuszenie go do uległości, i archierej się dopytywał. W X... między urzędnikami wiadomość o Błażku się rozeszła; może i w Warszawie już o nim wiedzano?

W chałupie coraz to większe robiły się pustki: chłopcy chodzili obdarci, już i gospodarzowi buty z nóg spadały, a nie miał za co sobie nowych kupić. A tu kara za karą. Płać i płać! Żeby nie czarny Mosiek z miasteczka, co go wciąż ratował, nie wiedzieć, skądby był nastarczył...

Ale sąsiedzi więcej nad nim ubolewali, niż on sam. Spokój, co go sobie z Częstochowy przyniósł, już go nie odstępował.

— Jedno życie dał Pan Bóg człowiekowi — mawiał — i tyle tylko człowiek przecierpieć może, na ile krótkiego życia stanie... I pop, i te psy z Chełma... cóż oni mi zrobić mogą? Wiary z duszy mi nie wydrą, a reszta złamanego szeląga nie warta.

Dziwowali się ludzie, ale i do serca brali tę jakąś moc, co z oczu i ze słów chłopca płynęła, i tak go szanowali we wsi, jakby jakiego świętego.

To popów jeszcze więcej w oczy kłuło. Szarpali go też i wojowali z nim ciągle, tembardziej że i chłopcom swoim nie dał do cerkwi chodzić i cichaczem ich na odpusty do spowiedzi wyprawiał.

O żonie się dowiedział, że służyła za kucharkę czeladnią u jednych państwa. Dzieci były przy niej, bo państwo, dowiedziawszy się, co ją w tamte strony za bieda zagnała, zmiłowali się nad nią.

Tak upłynęło lat parę. W chałupie panowała nędza, aż nareszcie nowe kary, nałożone na Błażka, i wystąpienie czarnego Mośka o zapłacenie mu należności zmusiły do wystawienia gruntu i chałupy na sprzedaż. Chłopu nie zostało nic, prócz obdartej sukmany na grzbiecie i medalika Matki Boskiej Częstochowskiej na piersiach. Chłopców oddał w służbę, sam do pilnowania lasu u pana Polańskiego się zgodził. Ale popom nie było dosyć, że człowieka zniszczyli ze szczętem.

Właśnie z Petersburga przyszła odpowiedź na prośbę, podaną do najwyższego synodu. Odmawiano Błażkowi prawa zostania przy katolickiej wierze. Odpowiedź ta przyszła przez konsystorz chełmski i gminę i nanowo sprawę Błażka przypomniała. Już teraz strażnicy bili go, prowadząc do miasteczka, pop groził Syberją, naczelnik zaś podczas wizyty w gminie pięścią mu wygrażał i obiecywał, że go do więzienia wpakuje. Co najgorsze, że się zaczęli czepiać do księdza i do pana Polańskiego. Jakaś podobno przyszła denuncyacya, że ksiądz Błażka do uporu zachęcał; przenieśli więc poczciwego proboszcza na gorszą parafię, choć dowodu żadnego znaleźć nie mogli. Panu Polańskiemu zaś robili zarzut z tego, że za leśnego trzymał człowieka opierającego się władzy, „uporstwujuszczonego“. Pan Polański bronił siebie i Błażka, ile mógł, ale Błażek, dowiedziawszy się, czemu to strażnicy dwór nachodzą, sam pana o uwolnienie prosił.

Był teraz sam, bez przytułku, bez chleba. Chłopaków jego biciem i znęcaniem zmusili do chodzenia do cerkwi i spowiedzi u popa. Biedne dzieci! „Toćto nie dziecinnej siły potrzeba, żeby przewyciężyć taką biedę“. Ulitował się nad nimi, ale coś między nim a jego dziećmi stało takiego, że nie byłby od nich przyjął kawałka chleba. Wiedział, że przyjętoby go jak „swojaka“, aleby może biedy ludziom narobił, jak księdzu i panu... Gdzie się tu podziąć

człowiekowi? Śpiewał pieśni nabożne, chodząc po lesie, odmawiał pacierze i nagle przyszła mu myśl, którą miał za zesłaną mu od samego Boga... O, tego mu przecie nie odmówią... To, co inni mieli za karę, on widział przed sobą jako pociechę i szczęście...

Było to w końcu września. Ludzie uwijali się z siewem, narzekając na suszę; ziarna żyta i pszenicy leżały w wyschłej ziemi, jak w popiele; drzewa po ogrodach i lasach stały ze żółkłym i poczerwieniałym przed czasem liściem. Ludzie, jak wiewiórki, ściągali, co mogli, na zimę do stodół, piwnic i brogów. Miał każdy roboty po uszy, a tu wójt zwołał sołtysów i kazał na gwałt robić szarwark po drogach. Spędzili ludzie kupę i spieszyli się bardzo, bo gubernator miał przyjechać do miasteczka. Spodziewano się lada dzień, więc konie z powozami były zamówione u obywateli okolicznych, i kucharz pana Polańskiego miał gotować obiad w kancelaryi gminnej. Wywiązał się z tego znakomicie. Gubernator chwalił majonez ze szczupaka, lody i widocznie był zadowolony, bo nawet pisarzowi kilka słów uprzejmych z ust jego się dostało. Był to człowiek z taktem i spokojem, spełniał rolę tępiciele polskości bez zapału i świętej zgrozy, z zimną krwią, wytrwałością i grzecznością dobrze wychowanego człowieka. Lubił wyglądać na wielkiego, czołobitność podwładnych łechtła jego próżność, służalstwo urzędników niższych napępniało go zadowoleniem. Ta mania wielkości sprawiała, że lubił przyjmować prośby i napawać się błagalnym wzrokiem proszących, że udawanie dobroczyńcy i wszechwładnego było mu drogą. Przed zwierciadłem uczył się protekcyjnych a pełnych pobłażliwości i grzeczności ukłonów, czuł się stworzonym do władzy.

Gubernator przed kancelaryą gminy—to prawie panujący. Urzędnicy gminy w pewnym oddaleniu, z odkrytymi głowami, ze wzrokiem wyczekującym rozkazu; za nimi tłum

ciekawych, na drzwiach urzędu girlanda, z gałęzi świerku i jagód jarzębiny zrobiona.

Gubernator żegnał urzędników kilku uprzejmymi słowy, wymówionemi od niechcenia, z arystokratycznym lenistwem, gdy odgłos jakiegoś łajania, szeptem, lecz gwałtownie wypowiedzanego, doszedł jego uszu. Odwrócił się i ujrzał strażnika, kułakami odpędzającego jakąś wychudłą i mizerną postać, ubraną w szarą siermięgę. Dostojnik z uśmiechem wyrozumiałym skinął na strażnika. Sądził, że to żebrak jakiś, i widział się już rzucającym białymi, długimi palcami jałmużnę, słyszał głos żebraka błogosławiący...

— Dopuszczyć tego człowieka do mnie!—wyrzekł.

Stał przed nim Błażek. Gubernator sięgnął do kieszeni, lecz spojrzawszy na chłopca, który mówić zaczynał, skłoniwszy się nisko, wstrzymał się z datkiem.

— Jaśnie... najjaśniejszy! wysłuchajcie prośby mojej—wołał Błażek.

— O cóż ty prosisz?

— Ja proszę... najjaśniejszy, proszę, żeby mię z żoną i z dziećmi na Syberję wysłali.

— Co? — spytał, wychodząc ze spokoju gubernator.

— Co?

— Proszę na Syberję.

— Na Syberję? To jakiś waryat—wyrzekł gubernator.

— Tak, tak, to waryat rzeczywiście — podchwycił usłużny pisarz.

— Nie, nie, jaśnie gubernatorze, ja nie waryat.

Spojrzał swojemi wybladłemi a gorejącemi oczyma w twarz urzędnika, którego wzrok ten przejął trwogą i ciekawością zarazem.

— Ten człowiek nie godzien mówić do waszej ekscelencyi—odezwał się nieśmiało pisarz.

Gubernator skinął znowu ręką, wyszukany gestem łaskawego panującego.

— Możesz mówić—rzekł do Błażka.

— Z żoną mię rozdzielili—jęknął Błażek. — Zyliśmy z sobą lat dwadzieścia... lubiliśmy się i szanowali. Wywieźli ją do Blindowa z dziećmi młodszymi...

Gubernator spojrział pytająco na pisarza.

— To nie jego prawa żona—podchwycił pisarz.

Wzrok gubernatora pytał ciągle.

— Prawo nie zabrania... — wycodziły jego usta.

— Przyszło rozporządzenie z konsystorza chełmskiego.

— Aal... Gubernator uchylił głowy.

— Brat jego żonaty ze starszą siostrą.

— Któż więc mu dał ślub?

— Ksiądz katolicki. Pokazało się, że to rodzina prawosławna... On jest „uporstwujuszczy“.

— Jaśnie gubernatorze! — mówił Błażek z tym płomieniem w oku, który musieli mieć męczennicy—miałem żonę i dzieci, miałem grunt, chałupę, dobytek... Wszystko mi zabrali... żonę wywieźli... mienie sprzedali na kary i sztrafy. Nie piłem, nie marnowałem, pracowałem po Bożemu, a dziś jestem żebrak na stare lata... O jedno proszę... niech mnie z żoną i dziećmi na Syberyę wywożą.

— Czy ty nie wiesz, że na Syberyę zbrodniarzy za karę wywożą?

— Wiem, ale tak se myślę, że chyba tam lepiej, niż tutaj. Już tak źle, jak tu, nigdzie być nie może... Tamby mi pewno z żoną i dziećmi mieszkać pozwolili, — tu jam został sam jak palec... zapadłbym tam jak kamień w wodę, i możeby mi już dali spokój...

Gubernator czuł się w trudnym i niemiłym położeniu. Rozumiał niesprawiedliwość, której Błażek stał się ofiarą, ale stali koło niego zgromadzeni urzędnicy powiatowi

i gminni, trzeba więc było zaznaczyć swoje urzędowe, prawosławne przekonania.

— Czy chodzisz do cerkwi, obowiązki religijne spełniasz?—zapytał surowo.

— Jam katolik—zawołał Błażek.

— Jesteś nieszczęśliwy, boś zmienił wiarę ojców... Wróć na łono świętego kościoła prawosławnego!

— Jużeście mi wszystko zabrali—rzekł spokojnie Błażek—jedno mi zostało... to moja wiara.

Dłoń położył na wychudłych piersiach.

— To moje wszystko!—zawołał—to mój skarb jedyny i największy... nikt mi go nie wydrzel... Zabrali mi mienie, żonę, dzieci, tylko mojego Boga, mojej wiary nikt mi nie zabierzel!

Gubernator wyjął z kieszeni trzyrubłówkę i z wyuczonym gestem wyciągnął rękę ku Błażkowi.

— Widzę, żeś biedny, nie przy zdrowych zmysłach, mizerny i głodny... Masz na kawałek mięsa!...

— Niech jaśnie gubernator da to lepiej tym psom—wskazywał pisarza i strażników—którzy za kopiejkę Pana Bogaby sprzedali i aż im się ślepie palą do rubla. Mnie pieniędzmi nie skusi...

— Jak możecie cierpieć waryatów w gminie?—rzekł spokojnie gubernator, stawiając nogę na stopniu powozu—dla takich ludzi są szpitale... gmina powinna znaleźć fundusze na utrzymanie tego człowieka w szpitalu...

Powóz ruszył i wkrótce znikł w tumanie kurzu.

Pisarz i pop zachwyceni byli pomysłem gubernatora.

— Tak, tak, do szpitala waryatów! — wołał pisarz, uderzając się po kolanach.—Co to jest gubernatorska głowa! Oł, namby z tobą, batiuszka, nic podobnego nie przyszło na myśl! Juźci do szpitala waryatów, bo cóż z takim utrapieńcem zrobić? Kłopot tylko dla wszystkich i tyle!... Zniszczo-

ny, zbiedzony, już i butów na nogach nie ma... cóż od niego teraz wziąć... a przy swoim trzyma się uparcie... do cerkwi i na łańcuchu go nie zaciągniesz. Do szpitala waryatów i niech gmina na niego łoży! To mi gubernator! Onby wart być ministrem i zobaczysz, batuszka, że jeszcze będzie. O! patrzcie, co temu Błażkowi do głowy strzeliło!... Syberya!... To wymyślił!... Musiał mu chyba ksiądz podszepnąć taki projekt... Ale gubernator znalazł na niego sposób... A wszystko tak spokojnie...

— Prawda—potwierdził pop.—Ja nieraz myślałem, że nam jakoś wstyd, żeśmy z tym chłopem nie dali sobie rady... nieładnie to dla władzy, gdy jej wszystkie surowości i kary na nic się nie przydadzą... A teraz wszystko dobrze. Waryat był i kwita!... waryata do uległości się nie zmusza.

Wywieziono Błażka do X... Nawet się nie opierał i taki miał wyraz twarzy, jakby to ciało jego tylko siedziało na wozie obok strażnika, a dusza gdzieś wędrowała po innych krainach. Odmawiał litanię do Matki Boskiej i szeptał: „Matko Najczystsza, przyczyn się za nami!“ gdy konie ruszyły gościńcem.

Pod wieczór stanęli przed szpitalem. Był to budynek stojący za miastem; tylko daleki gwar dochodził do niego. Błażek zszedł z wozu, strażnik zadzwonił do drzwi. Wszedł posługacz z zapytaniem, jakiego to chorego przywieźli.

— Waryata z gminy Korabin — rzekł strażnik.

— A, to do siostry Julii... Spokojny w tej chwili?

— Ale możeby pan strażnik wszedł ze mną... zaprowadzimy go na salę... waryatom nigdy dowierzać nie można...

Strażnik wszedł, zapisali nazwisko przywiezionego, odczytali pismo urzędowe z gminy i strażnik opuścił Błażka. Na sali otoczyli nowoprzybyłego obłąkami... niektórzy mający jeszcze cień przytomności, inni mający lub bawiący się jak dzieci.

Weszła siostra Julia.

— Cóż, moi chłopcy grzeczni? — zapytała z uśmiechem.

Nieszczęśliwi otoczyli ją, jak rodzina otacza matkę. Dla każdego miała słówko uprzejme lub macierzyńską nagane.

Błażek patrzył na nią zdumionymi oczami. Pierwszy raz widział taki wielki, biały kornet i takie słodkie oczy u kobiety. Zwróciła się nareszcie do niego.

— Dawno przyjechałeś, mój przyjacielu? — zapytała. — Jakże ci jest po drodze? Czujesz się zmęczony? A może głodny?

— Głodnym ja spokojności — odrzekł Błażek — i takiego miejsca, skądby mię już nikt nie ruszał... Może takie miejsce choć między waryatami dla mnie się znajdzie...

Siostra Julia spojrzała na niego zdumiona.

— Poznamy się potrochu lepiej — rzekła — tu niema waryatów; są tylko chorzy... ja się nimi opiekuję... zobaczysz, że nie tak bardzo źle pod moją opieką.

— O, jam chory — rzekł Błażek — ale chorą mam duszę, bo się ona o żonę i dzieci krwawi... i o ich zbawienie...

— Chory na manię religijną — pomyślała siostra.

— Będziemy się razem modlić o ich zbawienie — odezwała się głośno.

Wyszła z sali, a Błażek chciałby był zapytać kogo, co to za pani taka, co z prostym człowiekiem tak „dobrzeńko“ rozmawia, ale otaczali go sami waryaci.

Siostra Julia miała słuszność, że nie tak źle było pod jej opieką. Od dwóch lat już Błażek doświadcza dobrodziejstw tej opieki i pod skrzydłami miłosierdzia odżył dla miłości i nadziei. Stał się on pomocnikiem Sióstr i posługaczem chorych. Rozumie teraz, dlaczego Pan Bóg tak go długo doświadczał... Chciał go mieć całkiem dla siebie... chciał,

by zapomniał o wszystkim, co miał kiedy, żeby się ciałem i duszą oddał tym, co cierpią...

— Józef! Józef! — rozlega się na wszystkie strony po szpitalu. Każdy wzywa jego pomocy, bo wie, że on jej nie odmówi, że najtrudniejsze posługi odda z cierpliwością i zapomnieniem o sobie. Gdy się z siostrą Julią wezmą do dzieła, uspokoić umieją najdzikszy szal wychowañców siostry. Błażek, którego nazwiska w szpitalu nikt nie zna, opowiada biedakom o swojej chacie, o tem, jak przewracał czarne skiby, bronował, ziarno w ziemię rzucał, o „kałanie“ i „gniadym“, które Bóg wie czyj owies teraz jedzą, o lesie pana Polańskiego, o takich sosnach, co ich trzech ludzi nie obejmie...

O swoich biedach, o stratach, o żonie i dzieciach mówi tylko z siostrą Julią. Jego historia rozeszła się jednak między ludźmi. Często odwiedzający szpital zapytują o Józefa i oglądać go radzi.

Patrzą jak na dziwo, a jest to tylko między tysiącami jedna skromna ofiara.‡



XIII
— MCLOWE

